KOBIETA NAMIĘTNA
CZYLI
Dramat Salonowy.

(DOKOŃCZENIE.)

Na wydartéj karteczce z pugilaresu napisałem kilka słów ołówkiem, w chwili, gdy najmniéj niby na mnie uważając, z największą przypatrywała mi się bacznością; odważyłem się uczynić jéj znak, że te kilka słów dla niéj były przeznaczone... przez resztę wieczora nie spojrzała już na mnie; podobała mi się jéj zagniewana minka, zrozumiała mnie... Wychodząc z teatru przesunąłem się około niéj, z lekka pochwyciłem w tłumie jéj rękę, i złożyłem w niéj mój bilecik. Trzymała się wuja, który postrzegłszy jéj zadrżenie, spytał: «Co ci to, Oktawio?» — Odpowiedziała: «Nic, mój wujaszku.» — Byłem zachwycony.

Zaklinałem w tym bilecie nieznajomą, aby mi bliżéj dała poznać swą ognistą duszę, którą muzyka tak silnie wzruszała, a może być pewną że niczego więcéj od niéj żądać nie będę.

Kilka dni czekałem odpowiedzi; — przejechałem kilka razy konno przez ulicę na któréj mieszkała. Postrzegłem ją wreście w oknie, odczytywała bilecik, był to mój, poznałem go po kształcie. Skoro mnie postrzegła, ukryła się natychmiast; byłbym się założył o mojego angielskiego konia że dziś wieczór do mnie napisze — i nie zawiodłem się. Uskarżała się na moje prześlado-

wania: i cóż uczyniła aby być tak okrótnie prześladowaną? Oburzając się na sam pomysł korrespondencyi pomiędzy nami, przysłała mi cztery stronnice gęsto zapisane, malujące jéj uczucia, charakter, położenie. Uwiadomiała mnie że w nienajlepszych stosunkach żyje z mężem, oficerem należącym bo wyprawy Algierskiéj i wielkim brutalem, błagała jak o największą łaskę abym więcéj do niéj nie pisał: napisałem natychmiast. Oktawia była przymuszoną odpowiedzieć na niezasłużone zarzuty; — odpisałem znowu. Tym sposobem korrespondencya musiała się koniecznie pomiędzy nami ustalić. Za tydzień nie wahałem się zażądać od niéj schadzki. Ma się rozumieć, nie zapomniawszy dodać że nic więcéj od niéj żądać nie będę.

Upłynęło kilka tygodni oporu; uzyskałem pożądane widzenie się sam na sam; a gdy się ta łaska często powtórzniéj wznawiała, odgadniecie bardzo łatwo, iż niezadługo nie miałem już jéj o co prosić; Oktawia owszém sama daleko więcéj dla mnie czyniła niżelim pragnął. Tak to zwykle bywa, moi panowie.

Oktawia na prawdę się we mnie rozkochała, i nie przestawała suszyć mi głowy wszystkiemi wyrzekaniami przeciwko małżeństwu, któremi tegocześni autorowie zawrócili mózg kobiétom; mówiła mi o oswobodzeniu z nienawistnych więzów, jak gdyby miłość nie była zawsze w pogotowiu na sprostowanie nadużyć źle dobranego związku. Tak pogardnie mówiła o mężu, że mnie to samo nawet oburzało.

Że żona nie dochowuje wierności mężowi, nie nam bezżennym należy się nato uskarżać; — lecz niechaj sza-

nuje go przynajmniéj. Piękny mi zaszczyt być przeniesionym nad człowieka, którego uważają za bałwana! Pragnę by mąż kochającéj mnie kobiéty był znakomitym człowiekiem, męzczyzną przyjemnym, wesołym towarzyszem, zasługującym na względy żony, i czynił mi zaszczyt przed światem. Starałem się zwrócić na siebie oczy wielu kobiet jedynie dla tego że ich mężowie zewnętrzne posiadali przymioty, i uchodzili za dowcipnych i rozumnych.

Oktawia rozpaczała niekiedy, że mąż jéj nie znalazł dotąd chlubnego zgonu na polu chwały: gdyby zginął,—mówiła,—zostałabym żoną twoją!—Pozwalałem się Oktawii łudzić tém omamieniem, nie widząc na teraz żadnéj nieprzyzwoitości zostawić ją w tak lubym błędzie;—jednak rzadko żenimy się z kobiétą, któréj pierwéj pozyskaliśmy wszystkie względy, — inaczéj, musielibyśmy zostać mężami zbyt wielu kobiét, całą prawie płeć piękną zaślubić, nieprawdaż, moi panowie?

Zmięszałem się nieco gdym postrzegł, że coraz mniéj przezorna, zaczynała mnie podawać w podejrzenie wujowi, i to jeszcze wujowi jéj męża, po którym spodziewała się zagarnąć kiedyś dziedzictwo. Rzadko kiedy w dzień mogła się od niego oddalić, z obawy aby sobie źle nie tłómaczył jéj nieobecności, i poznawszy że już przestała być uległą ofiarą okrutnego męża, nie zaprzestał nią się całkiem zajmować i kiedyś niewydziedziczył. Zaczęła z początku wychodzić bardzo rano, pod pozorem że idzie do kąpieli. Naznaczała mi schadzkę w lasku, o siódméj z rana. Podobny układ sprzeciwiał

się straszliwie mojemu wrodzonemu i nawykłemu lenistwu. Kładłem się późno, chętnie lubiłem z rana podrzymać, i to nieraz dało powód do wcale nieprzyzwoitych scen pomiędzy mną a Oktawią. To nic jeszcze; raz przyszło jéj do głowy przedstawić mnie wujowi jako dalekiego krewnego. Zaczęto mnie jak najlepiéj, najuprzejmiéj przyjmować w domu, z pochlebném jednakże zapewnieniem, że skoro tylko wuj odkryje nasze miłośne stosunki, zabije nas oboje mszcząc się za honor synowca. Nieraz gdy mnie zapraszała potajemnie do swego pokoju, zaklinała abym przynosił broń ze sobą, dla dania oporu w razie niespodziewanego podejścia. Wuj, stary wojak, gotów był istotnie spełnić czyn tak bezecny!.... Wszystkim wam wiadomo, moi panowie, że się przeszło dziesięć razy pojedynkowałem i nieobawiałem narazić życia gdy tego było potrzeba, ale nie najprzyjemniéj było zalecać się do piękności, przy któréj lada chwila mogłem być pchnięty sztyletem lub kulą przeszyty. Nie bardzo mi się chciało, za najmniejszym łoskotem, chować w futerał od arfy, w którym łatwo mogłem się udusić. Nie najpocieszniéj także było wychodzić oknem, i uarażać się na ukąszenia domowego brytana, który równie podstępny i nieubłagany jak pan jego, krążył bezustannie po schodach i dziedzińcu. Nie śmiałem się jednak skarzyć z obawy aby mnie o tchórzostwo nie posądziła. Podobno jesteśmy wszyscy tacy. Przez miłość własną znosiłem wszystkie te męczarnie, stanowiące najwyższą szczęśliwość Oktawii. Wyznać trzeba że my całkiém inaczéj jak kobiéty pojmujemy szczęście.

Oktawia tak była piękna, żem prawie we wszystkiem ulegał jéj woli, chociaż mi to nieraz wydawało się nieznośném. Zazdrość jéj, naprzykład, wszelkie przechodziła granice: Gdyśmy byli razem w teatrze, nie wolno mi było nawet kłaniać się dawnym znajomościom zdobiącym loże, a nadewszystko Baronowéj R... dawnéj mojéj kochance.

Lecz i to ją jeszcze niezabespieczało: zaledwie dozwalała mi patrzeć na pannę Grisi; niemiałem prawa pochwalić jéj wdzięków, bo zaraz nieskończone następowały kwasy i swary, których *Diva* najniewinniejszą była przyczyną. Aby się lepiéj przekonać że się nią tylko wyłącznie zajmuję, chciała mnie widzieć o każdéj prawie dnia godzinie, oprócz odwiedzin musiałem jeszcze pięć lub sześć razy na dzień przejeżdzać konno przez jéj ulicę. Resztę czasu poświęcałem pisaniu do niéj całych tomów: przepisałem nawet dwa lub trzy romanse w listach, aby sobie oszczędzić wysilenia imaginacyi. Łatwo pojmujecie że położenie moje było do niewytrzymania; już szczerze zamyślałem się oswobodzić, gdy pewnego poranku Oktawia wpadła do mnie cała pomięszana, i rozpływając się we łzach rzuciła mi się na szyję!

— Co ci to, droga Oktawio, — spytałem, — zkąd pochodzi tak gwałtowne zmartwienie?

— Mąż mój przyjechał! — odpowiedziała. — niestety! nie będę cię już mogła u siebie przyjmować!

— A to nieszczęście! — odpowiedziałem dość pocieszony przybyciem męża; — to wielkie nieszczęście! lecz on tylko jest panem u siebie a nie u mnie!

— Ach! wszystko już stracone, szczęście nasze zniknęło na zawsze! — zgoryczą zawołała. — Kochasz-że ty mnie prawdziwie Alfredzie?

— Czy cię kocham!... wątpisz-że jeszcze o tém?

— Kiedy mnie kochasz, to umierajmy razem, przyjacielu; opuśćmy to nędzne życie, gdzie nam brak powietrza do wolnego oddychania, przenieśmy się na inny świat, gdzie będziemy mogli się kochać jak dwa łabędzie, co w przyjaźniejsze ulatują strefy.

— Lamartine powiedział toż samo pięknym wierszem, — odpowiedziałem.

Oktawia nie wzięła téj odpowiedzi za odmówienie.

— Wszystko przygotowałam, — rzekła; — postarałam się o truciznę. Będzie w téj flaszeczce dosyć dla nas obojga.... O jakże słusznie rachowałam na szlachetne twoje serce, uwielbiony mój Alfredzie!

— To ostatnia scena z Hernaniego, — odpowiedziałem.

— Jakto! byłbyś tak niegodny i wahał się?

— Ależ moja pani, czyś ty zwaryowała? — rzekłem nakoniec. — Czy bawisz się odgrywaniem scen z modnych dramatów? Wiesz że podobny rodzaj sztuk lubię tylko w teatrze.

Oktawia otworzyła wielkie oczy; — osłupiała z podziwu owa szalona, co mnie przyodziała namiętnym swoim charakterem, dla tego żem się pozwolił uwielbiać podług jéj widzimisię, jedynie aby się jéj przypodobać, i koniec na tym.

— Ale czyś tylko zrozumiał com ci powiedziała, i czy naprawdę mówisz Alfredzie?— spytała cała drżąca.

— Zrozumiałem to dobrze że ci się przewróciło w głowie, moja Oktawio; mówię na prawdę, moja kochana, i bardzo na prawdę!

— Kiedy tak, mości panie, to jedna tylko polegnie ofiara.... Żegnam cię! żegnam na wieki!

I chciała ponieść flaszeczkę do ust.

— Żadnéj nie będzie ofiary,— żywo odparłem, i wydziérając jéj z rąk zatrutą flaszeczkę zdruzgotałem ją nogą; — powróć do przytomności, Oktawio, powróć do przytomności!

Zamiast wrócić do przytomności, Oktawia padła zemdlona na moje ręce, i wielkim kłopotem przywróciłem ją do zmysłów....

— Jesteś najnikczemniejszym z ludzi! — krzyknęła odzyskawszy mowę;— haniebnie mnie oszukałeś! A ja wierzyłam w twoją miłość, w twój honor!....

Tu gwałtowne łkania głos jéj stłumiły.

— Nieomyliłaś się wierząc w mój honor i miłość, droga Oktawio; dałem ci dosyć na to dowodów,— najlepszy w téj chwili nawet; podziękujesz mi kiedyś za to; niepozwalając ci umierać, wracam towarzystwu zachwycającą kobiétę.....

— Milcz, niegodny!.... — ze wściekłością odparła; — wart jesteś, abym na ukaranie twéj podłości, zagrążyła ci ten sztylet w sercu!

I to mówiąc zdjęła ze ściany malajski puginał, w raz z mnóstwem innéj zagranicznéj broni zdobiący sypialny mój pokój.

— Ach! kochaneczko, — zawołałem nieco rozgniewany, chwytając ją za ramie, — przestań mnie znieważać z łaski swojéj;.... nie jestem ani niegodnym, ani podłym!... jestem tylko niewinny chłopiec, co zapragnął napotkać namiętną kobiétę, i z duszy teraz tego żałuje. Wiekuiście wznawiające się twoje sceny już mnie zaczynały uleczać z téj modnéj choroby. Zresztą, czyż sądzisz żeś ty pierwszą moją kochanką?... Owe dziwaczne szkatułki, które wyobrazasz sobie pełne chińskich lub indostańskich osobliwości, mieszczą same tylko miłośne listy; a przysięgam ci, żaden z nich nie jest tak wymagającym jak twoje. Owe piękności, których portrety wzięłaś za fantazyjne utwory, królowały po kolei w tym miłośnym przybytku. A jednak żadna nie zrządziła mi tyle niespokojności co ty. Dla téj pięknéj blondyny zostałem pchnięty szpadą; dla czarnych oczu téj zachwycającéj amazonki o mało nie połamałem sobie kości na wyścigach w Chantilly; dla żadnéj nie wystawiałem się jednak na niebezpieczeństwo mieć ukręconą głowę jak gołąb lub kurcze, albo zadusić się w futerale od arfy jak mumia egipska! Doprawdy, już tego za wiele! porozumiejmy się nakoniec.

Sztylet wypadł z rąk Oktawii, niewiedziała co na to odpowiedzieć; z drżących jéj ust niezrozumiałe jakoweś wydobywały się głosy... wzięła wreście mantylkę, którą wchodząc rzuciła na krzesło, i zamyślała odejść. Z niezachwianém postanowieniem zastąpiłem jéj drogę.

— Nie wyjdziesz ztąd, — rzekłem, — dopóki mi uroczystéj nie złożysz przysięgi, że się wyrzekasz szalonego zamiaru odebrania sobie życia!

— Bądź pewny że się teraz już nie zabiję! — odpowiedziała tonem najwyższéj pogardy.

— Otóż tak dobrze, — rzekłem, — idź, i pogodź się z mężem.

Zdaje mi się że Oktawia musiała usłuchać mojéj rady, gdyż ją kilka razy widziałem z mężem w teatrze. Nie raczyła na mnie rzucić nawet okiem. Byłem uradowany; lękałem się na nowo wpaść w jéj ręce. Przysięgłem, że się odtąd nie dam złudzić ponętom namiętnych kobiét. Opowiedziałem szalony ten kaprys Baronowéj, którą nieco zaniedbałem dla Oktawii, wybaczyła mi, i serdecznie uśmiała się z mojéj awantury. Och! przy Cydalizie nie mam się czego obawiać utrapień przywiązanych do namiętnego kochania!

I Alfred skończywszy swoje opowiadanie, znowu się rzucił na kanapę.

BANCOLO

CZYLI

Jałmużna Artysty.

Cała ludność Marsylii zgromadziła się w Porcie dnia 15 Marca 1735 roku. Uroczystość poważna, szlachetna i rozczulająca odbywać się miała. Księża Trynitarze (*)

(*) Księża Trynitarze poświęcali się wyłącznie na wykupienie niewolników. Przebiegali państwa katolickie, zbierali jałmużny i co rok zawierali ugody z barbarzyńskiemi mocarstwami o wykup niewolników. Zdarzało się często że niektórzy z nich zostawali jako zakładnicy, już to dla uwolnienia z więzów kilku więcéj ludzi, już dla zabezpieczenia summ, których opłacić nie byli w stanie.

prowadzili z Algieru, Tunis, Maroko i Tripolis wykupionych przez siebie niewolników chrześcijańskich. Okręt który przywiozł ojców odkupicieli i biednych niewolników wszedł w wilią dnia tego do przystani z niewymówną radością licznych rodzin w nadziei znalezienia krewnych i przyjacioł swoich pomiędzy nieszczęśliwemi, których więzy wspaniałomyślne zerwało miłosierdzie.

Duchowieństwo wszystkich parafii, poprzedzone licznemi bractwami mężczyzn i kobiet z ich chorągwiami, urząd municypalny, Intendent prowincij, Gubernator na czele swego głównego sztabn, Biskup z kapitułą, pułki stojące garnizonem to wszystko udało się do portu, który od świtu niezmierna zajęła ludność. Okręty będące w przystani wzniosły swoje narodowe flagi na znak wesołości, a wystrzały armatnie odzywające się co pięć minut z wszystkich wałów miasta, huk swój mieszały z odgłosem dzwonów kościelnych.

Niewolnicy wykupieni i ojcowie Trynitarze wylądowali nakoniec na brzcgi. Widziano wielu z tych nieszczęśliwych, którzy nosili jeszcze piętno barbarzyństwa swych panów, padających na kolana i całujących ziemię któréj nie spodziewali się już oglądać. Drudzy płacząc z radości wzywali z pośrod tłumu krewnych swoich, łzy tkliwości płynęły z ich oczu a w pośród tego powszechnego uniesienia, szanowni zakonnicy, sprawcy téj najwyższéj szczęśliwości, spokojni i milczący szli przez środek tłumu, który ich okrywał błogosławieństwy.

Orszak udał się na mszę do kościoła katedralnego, potém każdy niewolnik wrócił na łono przyjacioł lub

krewnych. Ci którzy nikogo niemieli w stolicy prowincij, byli przyjęci od obywateli i po kilkodniowym pobycie do swych rodzin odesłani zostali.

Znaczna liczba cudzoziemców towarzyszyła téj rozczulającéj uroczystości, wszyscy oddawali hołd podziwienia nadludzkiemu poświęceniu się zakonników. Po skończonéj uroczystości, jeden z cudzoziemców z którego mowy i ubioru poznać było Wenecyanina, zbliżył się do przełożonego zakonników i rzekł do niego: — «Jeżeli się nie mylę, Wielebny Ojcze, najmniéj 200 niewolników przyprowadziliście z sobą? — Tak jest: — Ileż ich jeszcze w więzach Afrykańskich pozostalo? — Niestety! jeszcze przeszło 600. Z westchnieniem odpowiedział duchowny: jałmużny w ostatnich latach zebrane nie były znaczne, nie mogliśmy tym razem wykupić jak tylko starych Chrześcijańskich jeńców, musieliśmy nadto trzech braci zostawić w zakład za trzech nieszczęśliwych niewolników włoskich, których podeszły wiek i słabość, byłyby nieochybnie wtrąciły do grobu.

Trzech niewolników włoskich, przerwał nieznajomy, a z któréj części Włoch oni są? proszę mi powiedzieć. — Zdaje mi się że z Sycylii. — Ich nazwiska? — Zaraz powiem, rzecze zakonnik, mam podobno przy sobie listę naszych nieszczęśliwych braci. Trynitarz sięgnął do kieszeni i wyjął długą pargaminową kartę, szybko ją przebiegł. — Najprzód Paolo Bancolo, mający 86 lat, poborca z Palermo, w roku 1700 wzięty z wyspy Syra. — O Boże! zawołał nieznaiomy, czy tylko cię oczy twoje nie zwodzą, to jest mój ojciec! czy istotnie PaoloBancolo

napisany jest na téj liście. Czytaj sam, odpowie Zakonnik. — Paolo Bancolo! ach, tak, to on, to on! powiedz mi, gdzież jest ten szanowny starzec, gdzie jest, mów? — Paolo Bancolo, odpowie duchowny, zdziwiony uniesieniem cudzoziemca, jest w téj chwili u Hrabiego Langeron Gubernatora Marsylii. Ten waleczny i szlachetny mąz, niedosyć że jest pełen odwagi i poświęcenia, kiedy wojna lub powietrze ziemię naszą rozdzierają, chce być jeszcze wsparciem, pomocą nieszczęśliwym, kiedy w niéj pokój i pomyślność panują. Ach, po tysiąc razy dziękuję ci, przewielebny Ojcze, odpowie nieznajomy, całując z uniesieniem ręce zakonnika, lecz chciałbym jeszcze widzieć się z tobą, gdzie cię znajdę? — W moim klasztorze kilka kroków ztąd. — Zapytaj się tylko o ojca gwardyana. — Do widzenia więc, przewielebny ojcze.»

Nieznajomy nagle pobiegł ulicą prowadzącą do pałacu Gubernatora. W chwili oddalenia się jego, zakonnik spostrzegł dwóch lokai dążących za nim w liberyi bardzo bogatéj.

Było późno, już dzwon klasztorny wzywał zakonników na wieczorne modlitwy, kiedy furtyan uwiadomił ojca Gwardyana, że jakichś dwóch obcych, żąda z nim mówić.

Wyszedł i w jednym z odwiedzających poznał cudzoziemca, który z nim mówił rano, drugi był Paolo Bancolo stary niewolnik; lecz powierzchowność ostatniego, zmieniła się zupełnie, zrzucił łachmany niewolnicze, a przybrał strojną odzież bogatego człowieka. Uściskał czule zakonnika i dozgonną oświadczył mu wdzięczność.

Paolo Bancolo, rzecze duchowny, Bóg po tylu klęskach i męczarniach zesłał ci jak widzę byt szczęśliwy. Błogosław go, i nie zapominaj w świetném położeniu, o nieszczęśliwych co pozostali jeszcze w więzach.—O Paolo Bancolo nigdy nie zapomni o towarzyszach swojéj niewoli i ile możności starać się będzie, przynieść im ulgę w cierpieniach i zerwać ich więzy.—Jako syn ręczę za niego.—Pan jesteś synem Bancola? zapytał zakonnik. — Tak jest, dotąd byłem pozbawiony szczęścia widzenia go, gdyż został porwany z łona rodziny w tenczas, kiedy ja byłem jeszcze w kolebce. — Zakonnik wzniósł oczy ku niebu. — W ośm dni po moim urodzeniu; rzecze daléj: Ojciec mój, który był poborcą w Palermo, został wezwany przez kupców greckich na wyspę Syra, dla wyświadczenia im ważnéj przysługi. — Wsiadł więc na okręt w porcie Catany i od téj chwili, już więcéj nie słyszeliśmy o nim. — Moja matka wysłała do Syry zaufane osoby, lecz kupcy Greccy zapewnili, że nie tylko nie widzieli mego ojca, ale nawet i okręt na który się ambarkował, nie przybył. Miano go więc za umarłego i sądź o mojem podziwieniu i szczęściu; kiedy dziś rano imie Paola Bancolo z ust twoich usłyszałem. Imie, wiek, data niewoli, wszystko kazało mi wierzyć że przeczucie serca nie zwodziło mnie; pobiegłem do pana Langeron, ujrzałem biednego niewolnika i wkrótce uściskałem ojca.—Wyroki opatrzności są niedocieczone rzekł zakonnik; ale ty Paolo, dla czego nie doniosłeś rodzinie że jeszcze żyjesz?—Korsarze z Tunis zabrali nas i za przybyciem do swych brzegów sprzedali, zapędzony a 60 mil w głąb kraju, gdzie aż dotąd zosta-

wałem, dopiero teraz dla podeszłego wieku, zwrócono mnie do Tunis; tam postrzegłszy wykupiłes mnie mój dobroczyńco, zostawiwszy wzakład, jednego z młodych twoich zakonników.—Przewielebny ojcze! przerwał z żywością syn Paola Bancolo, jak wielkiéj summy potrzeba na wykup 600 niewolników chrześcijańskich, którzy pozostali jeszcze w Afryce?—Mahometanie są niezmiernie zaciętemi kupcami ludzi, odpowie ojciec Gwardyan, są przy tém nienasyceni i chciwi.—Sądzę jednak, że za summę 500,000 liwrów, możnaby uwolnić wszystkich naszych braci.—A więc przewielebny ojcze rzecze cudzoziemiec, idzie ci tylko o tę summę?—Podróży nie obawiasz się wcale? —Trzy części życia mego rzeknie zakonnik, strawiłem w rozmaitych krajach, żeglowałem po morzu, przebiegłem piasczyste pustynie Afryki, zawsze wspierany ufnością w Bogu i miłością bliźniego; możesz ztąd wnosić, że nie wachałbym się nową przedsięwziąść podróż, zwłaszcza gdyby jéj celem było odkupienie wszystkich nieszczęśliwych.

Przybądź więc do Wenecyi w wilią popielca roku przyszłego, odpowie syn niewolnika, do pałacu Orsinich na placu S. Marka; tam cię oczekiwać będę.—Pamiętaj że od twego przybycia zależy oswobodzenie wszystkich naszych braci jęczących w więzach niewiernych. Zegnam cię przewielebny ojcze.

Uściskawszy potém przyjacielsko czcigodnego zakonnika, oba Bancolo oddalili się od niego. — Przy bramie klasztoru wspaniały, pojazd oczekiwał na nich i szybko puścił się drogą do Włoch wiodącą,

W ostatni wtorek następnego roku teatr w Wenecyi przedstawiał wspaniały i zachwyczający widok. Ośm rzędów loż swietnym jaśniejących blaskiem, zajmowało to wszystko co tylko było we Włoszech pięknego, młodego, bogatego i znakomitego. Dwadzieścia cztery tysiące świec gorzało w 1,200 świecznikach srebrnych pozłacanych, a promienie tego sztucznego słońca odbijały się w dyamentowych zwierciadłach. Zdawało się że wszystkie okolice Włoch dały sobie rendez-vous w tym teatrze; był to zjazd prawdziwie mistrzowski. Poznawano damy Rzymskie po czystości rysów ich twarzy, Bolońskie po wdzięczym uśmiechu, Medjolańskie po składnéj kibici, Neapolitańskie po ognistym ich wzroku, Mantuańskie po białości cery, Florenckie po czarnych włosach, Weneckie po wykwintnem poruszeniu. W pośród tych wszystkich sławnych kobiet jeszcze uważano świetność starożytnych i nowych Włoch, potomków Grachów, Scypionów, Sforców, Medyceuszów, następców Michała-Anioła, Tycyanów, Karawaszów i Berninich. Umiejętność, sztuka, dostojność; godność, potęga polityczna i władza nieograniczona, wszystko się mięszało razem w tym mitologicznym raju, gdzie rozkoszna zabawa, ta można królowa świata, siedziała na tronie z szafirów, pomiędzy dwoma ulubionemi swemi ministrami to jest: modą dobrym gustem.

Nie tylko karnawałowe zabawy sprowadziły tak świetne zgromadzenie.—Powab zachwycający połączył się z upragnieniem corocznych rozrywek. Sława ogłosiła po wszystkich częściach Włoch, bliskie oddalenie się

znakomitego Weneckiego Poliszynella. — Po raz ostatni Bancolo miał się okazać na scenie, w całym blasku sławy i talentu swego, a Włochy nie szczędząc laurów, powstały jakby jeden tylko człowiek, aby wypłacić dług wdzięczności i podziwu artyście, który tak długo przewodniczył ich zabawom.

Charakter Poliszynella ma swoję właściwą cechę.— Poliszynello jest krótkim zbiorem występków i cnot ludzkich. Samolub, uprzedzony, skąpy, odważny, tchórz, niedowierzający i zabobonny, widzieć go niekiedy można szlachetnym, czułym, filozofem i marnotrawnym, stosownie do czasu i okoliczności; lecz czy to w występku, czy w cnocie, zawsze jest obdarzony nadzwyczajną poczciwością; rozsądek jego jakkolwiek mniéj pospolity, jest jednak prawdziwym, naturalnym i łatwo rzecz obejmującym, jego poruszenia są nacechowane nadzwyczajną komicznością, a mowa równie jest oryginalną jak i osoba. Twarz Poliszynella jest symboliczna.—Nosi on w swoich rysach wyobrażenie wielkości i nędzy ludzkiéj, nos ma orli, godło odwagi, lecz upośledzony od natury przez małą narość która dowodzi jego nieumiarkowanie. Czoło ma wysokie i szerokie jak Jowisz olimpijski, namiętności zostawiły głębokie ślady bystrego pojęcia; oczy jego są wielkie i zapadłe, powieki czerwone i wystające jak u starego orła, który zbyt długo patrzał na słońce. — Zęby jego białe, usta piękne i czerwone, lecz uśmiech ma coś w sobie szyderskiego i piekielnego. — Poliszynel ma włosy białe, figurę niekształtną, lecz jego powierzchowność jest tak wesoła,

dowcip tak figlarny i żywy, że nie można dostrzedz tych wad. Osoba Poliszynella jest żyjącą nauką, jeśli w nim uważać będziemy że szpetność ciała niknie przed dowcipnem i otwartą wesołością jego postępowania.

Bancolo jako człowiek wyższy od swego wstąpienia w zawód sceniczny, uczuł korzyść jaką prawdziwy talent z tylorakiéj osoby wyciągnąć zdoła. Przykładał się szczególnie do nauki tego rodzaju roli i tak potrafił przybierać na siebie wszystkie postacie, tak umiał się przejąć istotą rzeczy, że aktor niknął przed okiem publiczności, która Poliszynella jedynie obsypywała oklaskami. Bancolo odbierał nagrody za tyle trudów i usiłowań. Został ogłoszony pierwszym Poliszynellem całych Włoch i ci którzy występowali w Neapolu, Palermo, Bolonii, Pizie i Florencyi musieli go uznać za swego mistrza. Sława jego wzrastała z powodzeniem. Przebył Alpy, Pireneje, chciano go widzieć w Madrycie, Wiedniu, Paryżu i Berlinie. Bancolo przebiegł całą Europę, zbierał złoto i laury, lecz jak syn posłuszny i wdzięczny, wrócił do rodzinnego kraju, złożyć mu w ofiarze ostatnią świetność swego talentu, który już chciał ukryć na zawsze przed światem.

Już nie zobaczemy Bancola. Dziś ostatni raz występuje. Wieczorem pożegna się z nami. Co za strata dla teatru. Jaka żałoba dla całych Włoch. Poty póki dobre i biedne Włochy nie wydawały bohaterów i wielkich artystów, utratę Poliszynella, Arlekina lub jakiego komika liczono w rzędzie klęsk narodowych.

Wszędzie żale i utyskiwania, jednakże kobiety uśmiechały się z pod zasłon koronkowych wachlarzy. Orkie-

stra godna Olimpu, rozsiewała harmonijne tony. Lody, wytworne sorbety, roznoszone były na kryształowych tacach przez etyopskich lokai, a grad kwiatów nie przestawał padać na złote szlify, świetne mundury i inne ozdoby młodych officerów będących na parterze.

Bancolo przewyższył siebie tego wieczora. To raz wzbudzał głośny śmiech, to znowu rzewny płacz. Dwadzieścia tysięcy rąk z zapałem dawało oklaski przy okrzykach:

Bravo! bravi! per Baccho! bravissimo!

Tu znów 10,000 chustek w jednéj chwili okryło radośne twarze, i powszechne nastąpiło milczenie które kiedy niekiedy westchnieniem przerywane było. Widziane z wysokości sali twarze kobiet pod białemi zasłonami ukryte, zdawały się należeć do tych królewskich mumijów, które kosztownemi i okazałemi obładowane ozdobami wiecznie śpią w pieczarach gizejskich piramid.

Bancolo ułożył w drammacie własne swoje wypadki. Poliszynello wystawiony na łup pomyślnego i przeciwnego losu, będąc z początku sierotą i żebrakiem, Margrabią i pożyczającym na zastawy, marynarzem i żołnierzem, prałatem i kupcem, skończył na tém, że znalazł swego starego ojca, jako niewolnika powracającego z Maroko. W całéj téj odyssei były sceny że dzieci z radości skakały, lecz były i takie które podeszłych do łez pobudzały. Nagle przechodzono z najżywszéj wesołości do najgłębszego rozrzewnienia. Bancolo umiał czarować; on zdawał się trzymać w swym ręku serca tego tłumu, a naciskając one według swéj woli, łzy z nich i śmiech wydobywał.

Drammat ten szalone miał powodzenie. Po zapuszczeniu zasłony, jak grzmot tysiące wzniosło się głosów i krzyczano: Bancolo! Bancolo! Bancolo! najznakomitszy Poliszynello, niech wyjdzie! niech się pokaże!

Powiewano chustkami, wznoszono ręce, cały ten tłum wrzał z rozkoszy, wzruszenia i szczęścia. Bancolo ukazał się w stroju walki, w stroju tryumfu, w stroju Poliszynella.— Okrzyki uniesienia, radości, podwoiły się, wiwaty powitały go z wszystkich stron sali; widząc to powszechne uszczęśliwienie powiedziałby kto, że Wenecya odzyskała panowanie nad morzem, że znowu obchodzi uroczystość zaślubin swego Doży z morzem Adryjatyckiém.

Wivat! wivat! Poliszynello tysiące wołało głosów, jak niegdyś wołano Wivat Otello! kiedy ten waleczny Maur ukazał się w zatoce na admiralskiéj galerze, otoczony żołnierzami, którzy nieporuszeni jak Karyatydy [illegible]li złotem i krwią mieniące się chorągwie, tureckim wydarte zastępom.

Bancolo zdjął nakoniec maskę; pierwszy raz ukazał się z swą twarzą naturalną, przed tym tłumem rozkoszą upojonym. — Jeszcze huczniejsze zagrzmiały oklaski, rzekłby kto że ogromna budowa teatru miała się pogrążyć w tym wulkanie sławy.

Bancolo dał znak że chce mówić. Tysiące rąk klaskać przestało; nadstawiono uszu jak gdyby nową chciano uchwycić harmonią a głębokie milczenie zaległo oba krańce obszernéj sali. Bancolo zbliżył się do światła

trzechset lamp, które na brzegu jaśniały, trzy razy ukłonił się publiczności i rzekł wzruszonym głosem:

»Panowie widzicie przed sobą człowieka przejętego wdzięcznością za doznane łaski. Uwieńczacie niezatarte ich dowody, jakie mi dzisiaj dawać raczycie. Jeśli byłem tyle szczęśliwy że przez ćwierć wieku umiałem wam się podobać, jesli mój słaby talent potrafił zjednać sobie wasze względy, składam dzięki temu, którego tu bez uwielbienia wspomnieć nie mogę. Tak jest moi panowie, składam dzięki temu, którego nieskończona potęga kiedy zechce umie uposażyć kraj w zadziwiających artystów i w cnotliwe osoby. Twórca który tak hojnie rozsypał po naszéj ziemi swe dary, rzucił wam, między innemi nędzne naczynie z gliny, to jest mnie. Wy, przyjęliście, ozdobiliście okazałością jaka się tylko przyznaje temu, co jest rzadkiém i kosztowném. Przyjmcie panowie, czułe moje podziękowania, albo raczéj przyjmcie i zachowajcie w pamięci moją dozgonną wdzięczność. Unoszę z sobą tę myśl pocieszającą, że nigdy źle nieczyniłem, owszem przykładałem się ile możności do osładzania i łagodzenia boleści cierpiącéj ludzkości. Żegnam was moi panowie.

(Dokończenie nastąpi.)